



TEGOŻ DNIA, POPOŁUDNIE

F.M. wzbudził zrozumiałe zainteresowanie towarzysztwa, zgromadzonego na trawniku przed domem. Szczególnie Babcia, odpowiedzialna za dzisiejszy obiad, podejrzanie długo — zdaniem Rzodkiewki — zajmowała się jej pupilem, w nieprzyjemny sposób obmacując i podszczypując Franusia. Na wszelki wypadek Rzodkiewka oświadczyła głośno, że Franus jest jej syneczkiem i biada temu, kto go tknie.

Ciocia Lucynka, zażywna dama o dostojnym obliczu i posagowym podbródku, usłyszawszy to oświadczenie, rzuciła mężowi znaczące spojrzenie i subtelnie odkaślnęła. Subtelne odkaślnięcia stanowiły rodzaj kodu, którym państwo Klimkowie porozumiewali się w sytuacjach towarzyskich. Mama doskonale o tym wiedziała. Pani Lucyna Klimkowa, z domu Ptaszkowska, uważała bowiem od początku, że jej brat palnął głupstwo, żeniąc się z tą postrzeloną Marią, i niejedną już raz dawała temu wyraz przy pomocy subtelnych odkaślnięć. Trochę z ich powodu, a trochę dlatego, że bardzo kochała swoje postrzelone dzieci, Mama wstała i udała się do domu, gdzie wydobyła ze swojej walizki powiewny, długi, połyskliwy szalik w pięknym kolorze fioletowym. Ten to szalik zawiązała następnie na szyi Franusia jednym końcem, drugi wręczając Rzodkiewce.

— Proszę — powiedziała — to jest smycz dla twojego syneczka. Nie może przecież biegać bez opieki, zanim nas wszystkich nie polubi.

— Muszę powiedzieć, droga Marysiu... — zaczęła pani Klimkowa, ale Babcia, jak zwykle taktowna, przerwała jej, mówiąc:

— Wspaniały ten pani tort, pani Lucynko. Zresztą, zawsze, jak pamiętam, piekła pani zupełnie arcydzieła.

Mile pogłaskana ciocia Lucynka uśmiechnęła się wreszcie i wygodniej rozsiadła w krześle, specjalnie dla niej wykopanym spod stosu gratów w hallu. Pan Klimek, na co dzień urzędujący w białym kitlu za ladą apteki, dziś nosił piękny garnitur wizytowy. I dla niego wydobyto krzesło, gdyż był gruby, zasapany

i godny. Wszyscy inni siedzieli po prostu na trawie: dwulatek Jacunio, zwany Dzidziusiem, zupełny aniołek, jego brat Witalis — tęgi trzynastoletni osiłek oraz Halinka, piękna dziewczyna o aksamitnym spojrzeniu i czarnych lokach, najstarsze i pełnoletnie dziecko państwa Klimków. Właśnie przysiadła na trawniku między Mamą a Babcią, wiła wianuszek ze stokrotek i prowadziła przy tym rozmowę na tematy zawodowe. Do wczoraj pełniła obowiązki bibliotekarki, dzieląc czas między tę pracę a prowadzenie świetlicy w śmietankowskiej szkole.

— Mamy piękny księgozbiór — mówiła. — Pan Zieliński, który założył tę bibliotekę i przez wiele lat ją prowadził, to był prawdziwy bibliofil. Sprowadzał mnóstwo książek, często i za własne pieniądze, całą okolicę wciągnął do czytania. Po jego śmierci, zgodnie z jego życzeniem, wszystkie książki pana Zielińskiego stały się własnością biblioteki. Zobaczycie ciocia, co my tutaj mamy! A ja już ledwie dawałam radę ostatnio, czytelnicy domagali się, żeby biblioteka była czynna codziennie. Obsługujemy nie tylko miasteczko, ale i kilka okolicznych wiosek.

— Pracowałaś jeszcze z panem Zielińskim, czy tak?

— On bardzo ciężko chorował — odparła Halinka.

— Przez ostatnie miesiące przed śmiercią prawie się nie podnosił z łóżka. To wtedy zaczęłam tu pracować. Ale teraz to już za wiele dla mnie, zostawiam ciocię z tym kłopotem. Oczywiście z początku chętnie pomogę, w szkole teraz przecież wakacje. Tu jest tyle do zrobienia!

— Wszyscy ci pomożemy, kochana Marysiu! — wtrącił z uczuciem wujcio Klimek. — Moim zdaniem, trzeba z miejsca zabrać się za malowanie waszego mieszkania. Licz na mnie.

— Wszyscy mi pomagają — wzruszyła się Mama. — Ta pani Adamska taka miła, przybiegła tu dziś rano z mlekiem i obiecała przysłać jutro swojego najstarszego syna. To podobno duży chłopiec i chętnie nam pomoże.

Halinka nagle spuściła głowę i zaczęła majstrować przy klamrze sandałka. Natomiast bracia Ptaszkowscy ryknęli śmiechem.

— Duży chłopiec! Oj, oj, nie mogę!

— O, rety, Mamo, ten Stefan wcale nie jest duży! On jest wielkolud, Mamo!

— Student! Bary ma o, takie! — napompuwał się Munio.

— Taaaką klatę! — piał Tunio.

Halinka wciąż poprawiała klamerkę, a uszy, wyglądające spod czarnych loków, zrobiły się jej purpurowe.

Pani Klimkowa przyglądała się jej podejrzliwie, ale tylko przez chwilę. Jej uwaga została odwrócona, i to na dobre. Dzidzius, którym jakoś nikt się nie zajmował, potupał sobie po zielonej trawce w kierunku niskiego stolika, na którym stał przyniesiony przez Klimków tort hiszpański oraz dzbanek z kompotem. Dzidzius popatrzył na wiśnie, czekoladę i mnóstwo kremu na torcie, zdjął sprawnie ze stołu talerz z hiszpańskim arcydziełem i zastanowił się. Jego serduszko wezbrało uczuciem sympatii ku owej miłej, starszej

pani w ładnej szarej sukience. Siwa pani rozmawiała żywo z Halinką i — z uwagi na rosnącą tuż koło jej nosa okazałą brodawkę — stanowiła obiekt najbardziej interesujący.

Wypinając mocno brzuszek dla uzyskania równowagi, Dzidzius pobrnął z tortem przez wysoką trawę, dotarł do celu i uśmiechnął się promiennie. Z bliska Babcia podobała mu się jeszcze bardziej, więc już całkiem śmiało, z rozmachem, umieścił tort na jej kolanach, talerzem do góry. Zaledwie dwa razy zdołał przyklepać krem do kolan swej wybranki, gdy ta zerwała się z młodzieńczą żywością, wznosząc piskliwe, bardzo zajmujące okrzyki. Oczywiście, niestety, tort odkleił się powoli od sukienki Babci i klapnął w trawę. Jacunio ruszył więc z kopyta ku stolikowi, z zamiarem uszczęśliwienia Babci również kompotem z dzbanka. Nie zdołał jednak wprowadzić w czyn swojego pomysłu, gdyż jego mama już biegła ku niemu z okrzykiem grozy; nie chcąc tracić tak dobrej okazji, Jacunio wylał zawartość dzbanka na własną głowę, piersi i brzuszek. Następnie spojrzał na rodzicielkę niewinnymi oczętami i uśmiechnął się rozbajajaco.

Pani Klimkowej opadły ręce.

— Cuniopójdziemyciewodosiam! — powiedział Dzidzius z szybkością karabinu maszynowego i zdawał się oczekiwać odpowiedzi.

— Witusiu! — jęknęła ciocia Lucynka. — Co on mówi?

Witalis, który jako jedyny w rodzinie rozumiał mowę Dzidziusia, przybliżył się z ważną miną.

— Jacunio pójdzie myć się wodą, sam — przetłumaczył biegle.

— Siam! Siam! — uradował się Jacunio. — Duzej-duzejwodymycie!

— On chce się umyć w bardzo dużej wodzie — przełożył Witalis z wprawą zawodowca i niedbałą miną.

— W bardzo dużej wodzie? — przestraszyła się jego matka. — Chyba nie w jeziorze? Jacuniu, tylko nie to! Nie wolno!

— Tseba, tseba — rzekł stanowczo Jacunio i skończył z pustą gadaniną, pozostając przy własnej opinii.

Pan Klimek nie takie rzeczy widywał na co dzień. — Wracając do sprawy remontu, kochana Marysiu — powiedział, jakby nic nie zaszło — dziś w aptecce zastępuje mnie kolega, mógłbym więc ci pomóc choćby zaraz. Zwłaszcza że, jak widziałem, do drogerii właśnie rzucili emulsję. Może byśmy poszli i kupili parę puszek, za dwa-trzy dni byłoby już po malowaniu.

— Masz rację — zgodziła się Mama. — Od pierwszego zaczynam pracę, to ostatnia okazja, żeby w spokoju pomalować mieszkanie.

— Idziemy?

— Jazda! — zerwali się Tunio i Munio. — Trzeba zobaczyć to nasze miasto!

— Chodź, syneczku — powiedziała czule Rzekiewka i delikatnie pociągnęła za fioletową smycz.

— Zostawcie mi Dzidziusia — zaproponowała Babcia, która już zdołała odzyskać spokój ducha. — Umyję i jego, i siebie, a potem zajmę się obiadem.

— A co będzie na obiad? — zainteresowała się Rzodkiewka, jak zwykle pojawiając się tam, gdzie była mowa o jedzeniu.

— Franuś — odparła Babcia ponuro.

— Nie! Nie! — wrzasnęła Rzodkiewka. — Po moim trupie, po moim trupie!

Ciocia Lucynka obejrzała ją sobie dokładnie i westchnęła, ze współczuciem kiwając głową.

— Ja tylko żartowałam makabrycznie — wyjaśniła Babcia. — Odejdźcie oboje, odkładam topór wojenny.

Ciocia przeniosła wzrok na Babcię, lecz powstrzymała się od westchnienia.

— Na obiad będą pierogi z czereśniami — zdecydowała Babcia. — I kompot z czereśni. I zupa czereśniowa, bo nie jesteśmy kanibalami i nie zrobimy rosółku z Franusia.

— No, to w drogę! — rzucił komendę pan Klimek.

Ciocia Lucynka zawahała się, nie wiedząc, czy powinna zostać z Dzidziusem, czy podążyć za mężem i dopilnować, by nie dawał się wodzić za nos. Ostatecznie podjęła decyzję, ujęła męża pod ramię i zarządziła:

— Ty, Halinko, zostaniesz. Pomożesz umyć Dzidziusia. — Po czym uformowała czoło pochodu i ruszyła przed siebie, wsparta na ramieniu małżonka.

*

Słońce stało już wysoko na czyściutkim niebie, wiał świeży, pachnący kwiatami i miętą, wiatr. Ścieżka prowadząca przez las do miasteczka była sprężysta i wilgotna, przyjemnie szło się po niej w sandałkach. Monika westchnęła głośno i radośnie i ciągnąc za

fioletową smycz, na której drugim końcu włókł się beznadziejnie Franuś, powiedziała smakowicie:

— Ale tu fajnie, co? Powietrze jest takie... landrynkowe!

— Już nie — zadowcipkował Munio. — Przeszłaś, pogadałaś, wytchnęłaś dwutlenek węgla i skaziłaś atmosferę.

— Co, co ja wytchnęłam? — obrazila się Rzodkiewka.

— Dwutlenek węgla — powtórzył Munio przemądrzale. — Wypuściłaś go w powietrze w dużej ilości.

— Ja?! — krzyknęła Rzodkiewka, dotknięta do żywego. — Nie wypuszczałam żadnego butlenku!

— Mnóstwo.

— Całe chmury — dołączył Tunio.

— Przestańcie, wy podle węże! — ryknęło niespodziewanie miłe dotąd dziewczątko. — Mundek, nie łzyj, bo ci odgryzę nos! — Z jej pocziwych zażwyczaj, brązowych oczek wyzierała wściekłość, dobrodusznia gębusia poczerwieniała jak burak, a pulchna piastka wywijiała w powietrzu zamaszyste młyńce (z drugiej nie wypuszczała smyczy Franusia). Była w ogóle tak groźna, że obu braciom natychmiast odechciało się żartów. Rzodkiewka wpadała w furie raczej rzadko, lecz jeśli się już to zdarzyło, była to furia ślepa, wściekłość ostateczna nie licząca się z nikim i niczym. W takim stanie, o ile nie została umiejętnie ułagodzona, Rzodkiewka mogła istotnie posunąć się do rękoczynów. Parę razy już tak się zdarzyło. Chłopcom nie wypadało bić się z młodszą siostrą, toteż obrywali od niej zdrowe cięgi.

Teraz Munio wyczuł, —
tuż-tuż. Albo udobrucha rozeźloną Rzodkiewkę, albo
na oczach Witalisa rozegra się przykra scena rodzinna.
A to na pewno zniweczy ów podziw, jaki czytał
Munio w oczach grubasa.

— Monisiu — zaczął dyplomatycznie. — Chyba
nas źle zrozumiałaś...

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię — wtrącił Tunio.
— Otóż, kiedy wciągasz powietrze...

— Nic nie wciągamy — zaznaczyła Rzodkiewka
dobitnie i stanowczo. — I nic nie skaziłam. Mam
was dość, żegnajcie — to mówiąc, porwała w ramiona
oszołomionego Franciszka i tuląc go z całej siły, aż
nieszczęsnemu kurczakowi oczka wyszły z orbit,
odmaszerowała energicznie pierwszą boczną ścieżką,
jaka się nadarzyła.

Munio i Tunio stali z głupimi minami. Witalis
patrzył na nich wyczekująco.

— Wariatka — powiedział wreszcie Munio dość
niepewnie. — Co ją ugryzło?

— Nadepnałeś jej na ambicję — domyślił się Tu-
nio. — Ona w takich wypadkach staje się niebez-
pieczna.

— Ty też jej nadeptywałeś — Munio był ziryto-
wany. — Nie będziemy jej przecież gonić. To jest
właśnie to, czego by chciała. Raz jej ustąpić — i już
zawsze będzie stosowała te numery.

Z daleka dobiegł głos Mamy, idącej z przodu wraz
z Klimkami.

— Dzieci, idziecie?

— Idziemy, idziemy! — odkrzyknął Tunio.

— Proponuję posiedzieć tu na trawce — powiedział
Munio. — Tylko momencik. Zaraz z krzaków wyleci
Rzodkiew z językiem do pasa i będzie nas gonić
w okropnym pośpiechu.

— To pewne — zgodził się Tunio.

— Możemy posiedzieć — Witalis ociężale klapnął
w trawę.

Mijały chwile, a Rzodkiewka jakoś się nie pojawiała.

— Chyba się przeliczyłeś — bąknął Witalis do
Munia. — A w ogóle, głupio wyszło.

Munio lubił być podziwiany. Krytyki po prostu nie
znosił.

— Głupio? Co głupio? — zezłościł się. — Z własnej
siostry pożartować już nie można? Pleciesz, przyjacielu.
To nasza jedyna broń. Monika to straszna despotka.
Leje nas, a my się nawet nie możemy bronić.

— Ani poskarżyć — uzalił się Tunio. — Bo Mama
i Babcia zawsze są po jej stronie.

— A Mama to zaraz by płakała. I wszystko skrupia
się na mnie, bo Babcia zawsze w końcu wypomni,
że obiecałem Tatusiowi opiekować się Mamą i Moniką.

— Obiecałeś? — zaciekawiony Witalis zerknął na
Munia. — Jak to było?

Munio milczał, zaszępioty. Potem zerwał się nagle
i poszedł szybko ścieżką, którą poprzednio oddaliła
się Rzodkiewka.

*

Uczynił to w samą porę. Rzodkiewka bowiem, która
do tej pory siedziała posepnie na polance, tuląc do
piersi Franusia, popadła w niespodziewane tarapaty.

Ni z tego, ni z owego krzaczki otaczające jezioro rozchyliły się i wylazły zza nich dwie postacie, obciążone butelkami z piwem. Jedna z postaci — niedomyty szesnastolatek o konopiastej czuprynie i błyszczącym obliczu wydał z siebie głos:

— Te! A ta co za jedna?

— To jest ta... — rzekł drugi. — Od tej... z biblo... biblo... teki.

— Te, mała, chodź no tu.

Rzodkiewka była przestraszona, chociaż sama nie wiedziała, czym.

— Nie! — powiedziała i nadeła się, przyciskając mocniej Franusia.

— Te! — zaśmiał się ten drugi. — Zobacz, Prokop, co ona ma.

— Kurę ma. Głupia czy co? Chodź no tu, mówię. Dawaj no tego kuraka.

— Idźcie sobie! — zawołała drżącym głosem Rzodkiewka. — Nie jesteście mili!

— Oddaj kuraka! Już!

— Nie oddam! — wrzasnęła dzielnie Rzodkiewka i pociągnęła nosem, a jej prześladowca wzniósł pięść.

Drugi wyrostek psyknął ostrzegawczo.

— Co jest? — odwrócił się konopiasty.

Młodszy kiwnął kciukiem w kierunku ścieżki, skąd donosiło się pogwizdywanie Munia.

— Ktoś idzie...

— To idzie mój starszy brat! — powiedziała Rzodkiewka z błyskiem w oku. — I on wam teraz pokaże!

Na te słowa obaj piwosze zdecydowanym krokiem opuścili polankę, bezpowrotnie przepadając w krza-

kach. Munio natomiast, który wyłonił się spoza leśniczyny, doznał niemałego wstrząsu. Przygotowany na to, że będzie musiał długo i żmudnie Rzodkiewkę przepraszać, został całkowicie zaskoczony jej zachowaniem. Siostrzyczka mianowicie porzuciła Franusia, pędem rzuciła się ku Muniowi, zawisła mu na szyi i zaczęła go całować, co dawno już się nie zdarzyło, ponieważ Munio nie lubił „oślizłych pieszczot”.

— Jak dobrze, że po mnie przyszedłeś, mój kochany — wychlipała, zraszając jego twarz łzami ulgi.

— O, Boże! — powiedział Munio, który niespodziewanie się wzruszył. — Przestań mnie moczyć, moja droga. I zejźdź już z mojej szyi, bo pachniesz kurą.

— Franuś! — przypomniała sobie Rzodkiewka i zwolniła uchwyt. — Tacy dwaj pryszczaci chcieli mi go zabrać, wiesz?

— Uhm — powiedział Munio nieuważnie. — Spieszmy się, musimy dogonić Mamę. Na pewno zaraz zacznie nas szukać.

Miał rację. Mama czekała już na nich przy wylocie ścieżki, wraz z Klimkami i Tuniem.

— No i gdzie wy przepadacie? — spytała z wyrzutem.

— Moja Mario — odezwała się ciocia Lucynka. — Musisz jednak im pozwolić na większą samodzielność. Tu im nic nie grozi.

Wuj Klimek chrząknął i zwrócił uwagę Mamy na biały, piętrowy budynek, wznoszący się za drzewami, po drugiej stronie pylistej drogi — tej samej, która biegła obok biblioteki i domku Adamskich.

— Tu jest nasz ośrodek zdrowia. ^{DUSKO, JAK WIDZISZ}
W razie czego — pięć minut drogi.
— Tylko lekarza mamy kiepskiego — westchnęła
ciocia Lucynka.

— Wcale nie! — oburzył się wujek.

— Zupełnie nieodpowiedzialny — ciągnęła nie
wzruszenie ciocia. — Ma już pod czterdziestkę, a za-
chowuje się jak wyrostek. Jeździ jak wariat na moto-
cyklu, zapuścił takie dziwne wasy, a co najgorsze
— wcale nie myśli o ożenku. Dziwaczny typ.

— Z tego, co mówisz — raczej sympatyczny — za-
śmiała się Mama.

— Jeździ tu po wszystkich górkach na tych swoich
nartach, skacze do wody z urwiska — no, co to za
lekarz! Nigdy nie wiadomo, kiedy mówi poważnie,
a kiedy się śmieje.

— Nie plotkuj! — przerwał stanowczo wuj. — Bra-
tek jest bardzo dobrym lekarzem, a ty go nie lubisz,
bo ci powiedział, że jesteś zdrowa.

— Tego nie powiedział!

— Że serce masz zdrowe, tylko otłuszczone. Po-
patrzcie, dzieci, tam dalej jest już apteka, a nad nią,
na piętrze — nasze mieszkanie. Potem droga zakręca
i już się zaczyna właściwe Śmietankowo.

Miasteczko było ładne i czyste. Pośrodku rynku
czerwieniał klomb z szaławia, a wokół, jak zwyczaj-
każe, rozmieszczono sklepy i inne ważne instytucje.
Punkt skupu wełny sąsiadował tu z komisem,
którego okno wystawowe, zarzucone sweterkami,
kosmetykami i gąbkami, natychmiast przyciągnęło
panią Klimkową. Mama i Munio wlepili wzrok w wy-

stawę Domu Książki, porozumieli się kilkoma mono-
syllabami i sprawnie dokonali zakupów w sklepie.

Rzodkiewkę natomiast zainteresowała wystawa
pod okazałym szyldem „Europejska-Restauracja-Ka-
wiarnia-Lody”. Niestety, wszyscy członkowie bliższej
i dalszej rodziny minęli obojętnie przybytek rozkoszy
smakowych i nie dostrzegając wymownych spojrzeń
dziewczynki, weszli do sąsiedniego sklepu, którym
była drogeria. Pochód zamykali Mama i Munio, którzy
minęli Monikę obojętnie, wpatrzeni w kupione przed
chwilą książki.

Wobec tego Rzodkiewka wzgardziła ich towarzy-
stwem i opierając się o nagrzaną słońcem barierkę,
zaczęła podziwiać ułożone w oknie „Europejskiej”
pomarszczone pączki i ciastka, zdobne w figlaski
z żółtego kremu. Brzęczały muchy, słońce przygrzewało
coraz mocniej, było sennie i przytulnie.

Wtem drzwi restauracji otwały się z trzaskiem,
wyrzucając obłok pomieszanych, dziwnych woni oraz
dwóch klócających się panów.

— ...mówilem, żeby załatwić jak najszybciej, pra-
wda? — doleciał Monikę strzęp zdania. — Ale ty
oczywiście zwlekałeś. Przeszkadzało ci, że dom nie
jest pusty, co? To teraz masz lepszą sytuację? Kupa
bab i dzieciaków, zawsze ktoś się będzie pałętał
po domu!

— Nie moja wina! — zdenerwował się drugi.

— Wczoraj przyjechali, a Prokop dawał głowę, że
będą za tydzień!

— Prawdziwy pech, że muszę jechać do Warszawy

— złościł się pierwszy. — Musisz to załatwić sam.

Najlepiej dziś w nocy. Im wcześniej, tym lepiej, skorzystaj z zamieszania, póki się jeszcze nie urządzili na dobre. Zresztą, rób, co chcesz, byle nie było kłopotów z milicją. Cześć!

Rzodkiewki nie zajmowała ta rozmowa. Słyszała każde słowo, ale uważała, że są to zwykłe bajdy, jakie zazwyczaj opowiadają sobie dorośli. Ziewając, obróciła się leniwie i ujrzała, jak jeden pan skręca za róg ulicy, podczas gdy drugi znika znów w drzwiach restauracji. I żaden głos nie ostrzegł Rzodkiewki, że dzieje się coś ważnego. Z drogerii wypadli chłopcy, obładowani puszkami i pędzlami wszystkich rozmiarów, i Monika momentalnie zapomniała o zasłyszanej rozmowie.

— Co się dzieje, Rzodkiew? — zgorszył się Tunio.

— Biegiem do sklepu po swój przydział!

— Córeczko! — zawołała mama z głębi sklepu.

— Bierz te dwie torebki i włóż je do kubelka, o tak!

— Wybaczcie, moi kochani — usprawiedliwiała się ciocia Lucynka. — Ja niczego dźwigać nie będę, ja mam chore serce.

Mama włożyła do swojej torby jeszcze dwie puszki. Co do Rzodkiewki, ulokowała ona F.M. w kubelku, obok torebek z gipsem, i pobiegła z tym wszystkim za chłopcami. Wszyscy wytaszczyli się przed sklep i stanęli przed drzwiami restauracji akurat w momencie, gdy otworzyły się one ponownie. Wyszedł krępy, mocno zgrzany pan w średnim wieku, odziany w przepoconą, wiśniową koszulkę polo. Na widok państwa Klimków spłoszył się w sposób uderzający.

— Panie Wojtczak! — zdumiał się wujcio Klimek.

— A pan co tu robi?

— Ja... wpadłem tylko na małe piwko... — tłumaczył się gęsto zakłopotany pan Wojtczak, a jego oblicze pokryło się mocnym szkarłatem. — Wywiesiłem kartkę, że apteka na chwilę zamknięta — no i już, już wracam...

Wujcio aż zaniemówił ze złości.

Pan Wojtczak czym prędzej zmienił temat.

— Nie mam przyjemności znać pani... — zwrócił się do Mamy z szarmanckim ukłonem. — Pani pozwoli, że się przedstawię, moje nazwisko Wojtczak.

— Bardzo mi miło — uśmiechnęła się Mama. — Ptaszkowska.

— Ach! — rozentuzjasmował się pan Wojtczak.

— To pani! Więc to pani będzie teraz prowadzić bibliotekę! — wpatrzył się czule w Mamę. — Ja jestem, proszę pani, namiętnym czytelnikiem! — wyznał.

— Panie Wojtczak! — nie zdzierzył wujcio. — Jak Bożę kocham, moja cierpliwość ma swoje granice...

Pan Wojtczak nie dał się zrazić. Był Mamą najwyraźniej zachwycony. Nie odrywał od niej oczu ani na chwilę, ucałował jej rączkę, a następnie uzałił się:

— Och, jaka pani obładowana! Proszę mi dać te torby, pomogę pani.

— Panie Florianie! — zgrzytnął zębami wuj. — Ja też jestem obładowany, czego pan nie zauważył, i poe się tu w słońcu, słuchając pana treli. Ponieważ i tak idziemy w jedną stronę, niech już pan niesie te paczki, ale tylko do apteki! A potem proszę wracać do pracy.

— Tak jest — zgodził się pan Wojtczak, obarczając się puszkami i torbami. — Mam nadzieję, że pani pozwoli pomóc sobie przy remoncie.

Mama próbowała się wymówić, ale pana Wojtczaka trudno było zniechęcić i nalegał bez końca, aż wtrąciła się pani Klimkowa, pytając:

— Czy my wreszcie ruszymy? Muszę wracać do domu, czas gotować obiad.

— To już nie chcesz zjeść z nami, Lucynko? — spytała Mama.

Ciocia Lucynka uśmiechnęła się z wyższością.

— Nie będziemy ci robić kłopotu. Zjemy u siebie skromny obiadek, coś z drobiu.

Kiedy Mama i wujek dotarli do domu, dzieci siedziały już przy dużym stole, wystawionym do ogrodu. Dzidzius, królujący w wyłożonym poduszką krześle, zanurzał obie rączki w kompocie i mył sobie nimi buzię oraz szyjkę. Pozostała czwórka zgodnie pałaszowała pierogi z czereśniami i śmietaną i nie zwracała na malca najmniejszej uwagi.

— A gdzie Babcia? Gdzie Halinka?

Okazało się, że Babcia poszła do kuchni, a Halinki nikt nie widział.

— Zaraz po waszym wyjściu — powiedziała Babcia, wyłaniając się z kuchni z nową porcją pierogów — Halinka pobiegła w stronę jeziora. O, tam.

— Utrapione dziewczusko — mruknął wujcio. — Ostatnio wciąż znika. Witalis, poszukaj no jej! Niech wraca z Jackiem do domu. A jak będzie wciąż znikać, to złoję jej tyłek!

Witalis podniósł się ciężko, przełykając ostatniego pieroga. Po wysłuchaniu ojcowskich instrukcji fleg-

matycznie uraczył się szklanką kompotu i spytał kuzynów: — Idziecie ze mną?

Zbiegli z górki na złamanie karku, podczas gdy Witalis godnie niósł swój brzusek po schodkach. Wyobrażali sobie, że będą musieli prowadzić długie poszukiwania, tymczasem już po kilku minutach Witalis natknął się na rozkoszną, zalaną słońcem polankę.

— Halinka z chłopakiem! — Witalis psyknięciem przywołał kuzynów, którzy wietrząc hecę, podkradli się bliżej. Zachowując ciszę, zbliżyli się do skraju polanki otoczonej leszczynami. Tłumiąc śmieszki, oddali się przyjemnościom podsłuchiwania.

— ...wśród milionów ludzi — dobiegły ich słowa.

— ...kogoś takiego jak ty, kochanie...

— Cśśśś! — szepnął ze złością Witalis. — Tuniek, przestań się drapać, bo nic nie słyszę!

— Kiedy mnie komar użarł!

— Ciiicho!

— ...jak dwie planety... po orbicie... — z żarem mówił wielbiciel Haliny.

— Cicho!

— Sam cicho, bulwieciu!

— Hi, hi, hi!

— No, dajcie posłuchać!

— Samotne gwiazdy... na wieki...

— O, rany! Chłopaki, to Stefan!

— Pokaż, pokaż!

— Rzeczywiście — szepnął wstrząśnięty Witalis.

— Co taki świetny facet widzi w mojej siostrze?

— Jak księżycowa królewna... — doleciało zza leszczyn.

— Księżycowa królewna! — wszedł się Witalis.
— Nie wytrzymam! Ten biedny człowiek jest ślepcem! Żeby on ją, sierota, widział tego dnia, kiedy narysowałem czołg jej szminką „Diorella”! O mało mnie nie zabiła, a wrzeszczała tak ohydnie, że dom się trząsa! Rysunek mi zniszczyła, mój Boże, co to był za czołg!

— O! — powiedział Tunio, wskazując palcem.

— On ją całuje — stwierdził Munio autorytatywnie.

— Zuchwalstwo takowe odpokutować usta me gotowe pocałowaniem pobożnym pielgrzyma.

— Co on bredzi?

— To z „Romea i Julii”. Uważam, że dobry cytacik.

— Brzydka rzecz podglądać. Cytując Szekspira.

— Słuszna uwaga, maleńki. Idziemy.

— Momencik — wycedził Witalis i nim zdążyli go powstrzymać, przelazł przez leszczyny i stanął przed zakochanymi w całej swej krasie. Jak można było się spodziewać, jego przybycie nie wywołało burzy entuzjazmu. Stefan spojrział na niego niechętnie, a w aksamitnych oczach Halinki zalśniły dwa szekspirowskie sztylety.

— Diorello! — rzekł złowieszczo Witalis, kiwając się na piętach.

— Zjeżdżaj stąd! No już! — warknęła księżycowa królewna.

— Przepraszam najmocniej — rozśłodził się Witalis w uśmiechu — że ci przeszkadzam. Masz wracać do domu z Dzidziusem. Musi iść spać, ale przedtem trzeba go wysadzić na nocnik, bo dziś jeszcze nie robił kupki.

Romantyczny nastrój pękł ostatecznie, jak przekłuta bańka mydlana.

— A tata powiedział, że ci złoł tylek, jak będziesz tak ciągle znikać w lesie.

Księżycowa królewna miała żądzę krwi wypisaną wprost na twarzy.

— To ja polecę — swobodnie zakończył Witalis.
— Do widzenia. — Ukłonił się bardzo grzecznie i — pękając ze śmiechu — znikł w zieleni leszczyn, jak przerośnięty elf.